

Poul Anderson

Pomocna dłoń

Rozległ się melodyjny dźwięk dzwonu, następnie bezbarwny głos szefa robotokuła dyplomatycznego:

– Jego Ekscelencja Valka Vahino, Poseł Nadzwyczajny i Pełnomocny Ligi Planetarnej Cundaloo do Zjednoczonych Republik Solarnych!

Przedstawiciele Ziemi wstali uprzejmie przy wejściu posła. Mimo kłopotliwych warunków ziemskich, dużej grawitacji i suchego, chłodnego powietrza, ruszał się on z wrodzoną gracją swego gatunku, budząc u ludzi podziw dla naprawdę wybitnej urody tej rasy.

Urody niezmiernie ludzkiej, gdyż i fizycznie, i umysłowo mieszkańcy Cundaloo mieli wszystkie cechy człowieka. A drobne różnice tylko dodawały wdzięku. Tworzyły romantyzm pewnej egzotyki, przy równoczesnym poczuciu, że właściwie nie są to jednak obcy.

Ralph Dalton przyjrzał się dokładnie ambasadorowi. Valka Vahino stanowił uosobienie swego ludu: humanoidalny ssak, dwunogi, o bardzo męskiej twarzy, delikatnie rzeźbionych rysach, wysokich kościach policzkowych i ciemnych oczach. Szczuplejszy i niższy wzrostem od Ziemian, ruchy miał zwinne, szybkie, bezszelestne. Długie, błyszczące, szafirowe włosy opadały na smukłe ramiona, odsłaniając wysokie czoło i tworząc miły dla oka kontrast na tle ciemnozłotej cery. Na sobie miał starożytny uroczysty strój Laujów z Cundaloo – lśniąca, srebrzysta tunika, szkarłatny płaszcz, pokryty – niby rojem gwiazd – metalicznym, iskrzącym się haftem, i miękkie, poźłociste skórznie. W wątlej dłoni, o sześciu palcach, trzymał bogato rzeźbiony znak swej godności, który służył mu jednocześnie za listy uwierzytelniające. Skłonił się ruchem pełnym szacunku, lecz bez wszelkiej czołobitności, i przemówił bardzo płynną ziemszczyzną z nieznacznym tylko, śpiewnym, przeciągłym akcentem ojczystego języka.

– Pokój waszym domom! Wielki Dom Cundaloo śle pozdrowienia i wiele najprzyjaźniejszych życzeń braciom Republik Słońca. Zapewnienie przyjaźni składa niegodny rzecznik Wielkiego Domu, Valka Vahino.

Na twarzach niektórych ludzi odbiło się lekkie zakłopotanie. Dalton pomyślał, że słowa Cundalończyka brzmią nieco dziwnie w przekładzie. Niemniej jednak był to jeden z najdźwięczniejszych języków Galaktyki. Toteż odpowiedział z tą samą uroczystą powagą:

– Witam i pozdrawiam. Zjednoczone Republiki Solarne wyrażają najgłębszą przyjaźń wysłannikowi Ligi Planetarnej Cundaloo. Premier Zjednoczonych Republik, Ralph Dalton, mówi w imieniu ludów Systemu Solarnego.

Następnie przedstawił zebranych: ministrów, doradców technicznych, przedstawicieli sztabów. Zgromadzenie było imponujące. Zebrała się tu cała śmietanka władzy i wpływów Systemu Solarnego.

– Przystępujemy do wstępnej konferencji – ciągnął Dalton – na temat propozycji gospodarczych złożonych ostatnio waszemu rząd... Wielkiemu Domowi Cundaloo. Konferencja nie będzie ściśle urzędowa. Lecz nadajemy ją w telewizji i Zgromadzenie Solarne poweźmie decyzję na podstawie całości naszych rozmów.

– Rozumiem. To bardzo dobra myśl – odparł Vahino. Wyczekał, aż wszyscy siedli, po czym sam zajął miejsce.

Zapadło milczenie. Wzrok wszystkich kierował się na zegar. Vahino przybył dokładnie w oznaczonej porze, natomiast Skorrogaii ze Skontaru spóźnił się. „Brak taktu” – pomyślał Dalton. Ale Skontarianie znani byli ze swoich złych manier. Inaczej niż Cundalończycy, których delikatność była przysłowiowa, a wcale przy tym nie oznaczała słabości.

Zaczęła się, zwykła w takich okolicznościach, rozmowa o niczym. Jak się okazało, Vahino bywał już nieraz w Systemie Solarnym, zwłaszcza ostatnio. Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy zacieśniające się coraz bardziej związki gospodarcze. Na wyższych uczelniach ziemskich kształciło się wielu studentów cundalońskich, a przed wojną rozwinął się spory ruch turystyczny z Ziemi na Avaiki. I niebawem będzie chyba wznowiony, zwłaszcza jeśli się odbuduje zniszczone tereny i...

– O, tak – uśmiechnął się Vahino. – Każdy anamai, cała młodzież na Cundaloo marzy o wyjeździe na Ziemię, choćby na krótki pobyt. Bez przesady można powiedzieć, że mamy bezgraniczny wprost zachwyty dla was i waszych osiągnięć.

– Zachwyty ten jest wzajemny – rzekł Dalton. – Wasza kultura, wasza literatura, sztuka i muzyka, cieszą się wielkim uznaniem w całym Systemie Słonecznym. Mnóstwo ludzi – nie tylko naukowców – uczy się luajskiego, aby móc czytać Dvanagoa-Epai w oryginale. Śpiewacy cundalońscy, estradowi i kabaretowi, mają ogromne wzięcie. Wasi młodzieńcy – dodał ze śmiechem nie mogą się wprost opędzić naszym dziewczętom. A młode Cundalonki nie wiedzą, co robić z nadmiarem zaproszeń. I jeśli liczba małżeństw jest ciągle nieznaczna, to chyba dlatego jedynie, że muszą być bezpotomne.

– Mówiąc jednak poważnie – obstawał przy swoim Vahino – zdajemy sobie sprawę, że wasza cywilizacja nadaje ton w całej Galaktyce. Rzecz nie tylko w tym, że cywilizacja techniczna Solarian stoi najwyżej, choć stanowi i to oczywiście jeden z głównych powodów – wy pierwsi przybyliście do nas w waszych statkach kosmicznych przynosząc nam energią atomową, wiedzę medyczną i inne zdobycze. Ale tego wszystkiego mogliśmy się nauczyć i potem dotrzymywać wam kroku. Chodzi jednak o takie czyny jak... jak obecna wasza oferta pomocy: gotowość odbudowy światów zniszczonych, a odległych od was o całe lata świetlne.

Gotowość obdarzenia nas waszymi skarbami i umiejętnością, gdy my prawie nie mamy czym się odwzajemnić. To właśnie sprawia, że jesteście przodującą rasą Galaktyki.

– Mamy, jak wam dobrze wiadomo, egoistyczne motywy – rzekł Dalton z pewnym zakłopotaniem. – Nawet liczne. Zwykły humanitaryzm też ma, naturalnie, swój wpływ. Nie mogliśmy pozwolić, aby rasa, bardzo podobna do naszej, cierpiała nędzę, gdy System Solarny i jego kolonie opływają we wszystko. Lecz nasza własna, krwawa historia uczy nas, że gospodarcza pomoc, w rodzaju obecnego planu, jest korzystna także dla pomagającego. Kiedy odbudujemy Cundalę i Skontar, uruchomimy i unowocześnimy ich zacofany przemysł, wprowadzimy tam naszą wiedzę – będziemy mogli rozpocząć handel. A nasza gospodarka wciąż opiera się przede wszystkim na handlu. Ponadto wytworzymy związki tak bliskie, by nie mogła powtórzyć się straszna, dopiero co zakończona wojna. No i pozyskamy sojuszników przeciw naprawdę obcym i groźnym kulturom w Galaktyce, planetom czy całym systemom, z którymi pewnego dnia może będziemy musieli się zmierzyć.

– Błagajmy Najwyższego, aby ten dzień nigdy nie nadszedł – rzekł z powagą Vahino. – Dostyc już mieliśmy wojny.

Dzwon rozbrzmiał ponownie i robot obwieścił czystym, nieludzkim głosem: – Jego Ekscelencja Skorrogan, syn Valthaka, książę Kraakahaymu, Poseł Nadzwyczajny i Pełnomocny Imperium Skontaru do Zjednoczonych Republik Solarnych!

Wszyscy znów wstali, tym razem nieco powolniej, a Dalton dostrzegł na wielu twarzach wyraz niezadowolenia, który w chwili wejścia nowoprzybyłego zastąpiła zdawkowa obojętność. Trudno było zaprzeczyć, że Skontarianie byli teraz niezbyt popularni na planetach układu Solarnego. Częściowo z własnej winy, ale tylko częściowo.

Powszechnie uważano, że wojnę z Cundalą wywołał Skontar. Był to jednak pogląd niesłuszny. Nieszczęście polegało na tym, że słońca Skang i Avaiki, tworzące systemy odległe od siebie o jakie pół roku świetlnego, miały jeszcze trzeciego towarzysza, zwanego przez ludzi Allanem na cześć dowódcy pierwszej wyprawy w te strony. A planety Allana były niezamieszkałe.

Gdy technologia ziemską dotarła do Skontaru i Cundaloi, natychmiastowym wynikiem było powstanie na obydwu planetach – w końcu zaś w ramach obydwu systemów – zjednoczonych, ale rywalizujących ze sobą państw, kierujących zachłanny wzrok na świeże, zielone planety Allana. Obydwa państwa miały tam kolonie, z czego wynikły starcia, wreszcie zaś ohydna pięcioletnia wojna, zakończona, po wyniszczeniu obu systemów, pokojem zawartym przy pośrednictwie Ziemi. Wojna ta była jeszcze jednym zwarem się wrogich imperializmów, co i w historii ludzkiej stano wiło częste zjawisko przed Wielkim Pokojem i utworzeniem Zjednoczonych Republik. Warunki pokoju między Skontarem i Cundalą były w miarę uczciwe, a obie strony zupełnie wyczerpane. Musiały więc zachować pokój, zwłaszcza że oba kraje

zabiegały o pomoc Solarian w odbudowie.

Na ogół biorąc ludzie lubili Cundalończyków. Tym samym jednak nie lubili Skontarian i przypisywali im wszystkie winy. Zresztą przed wojną Skontar nie cieszył się sympatią. Brano mu za złe izolacjonizm jego mieszkańców, ich kurczowe trzymanie się przestarzałych tradycji, twarde akcent ich mowy, wyzywający sposób bycia, nawet wygląd.

Dalton miał wielkie trudności, nim skłonił Zgromadzenie do zgody na objęcie Skontaru zaproszeniem na konferencję pomocy gospodarczej. Niełatwo przyszło mu wytłumaczyć, że jest to konieczne – zarówno, by zdobyć dostęp do bogactw Skangu, zwłaszcza mineralnych, niezbędnych przy odbudowie, jak i dla pozyskania przyjaźni mocarstwa, w zasadzie potężnego, a trzymającego się dotąd z dala.

Program pomocy istniał zaledwie w sferze projektów. Potrzeba jeszcze było uchwały Zgromadzenia, określającej komu należy pomagać, a później – formalnych traktatów z zainteresowanymi systemami planet. Obecne nieoficjalne spotkanie było więc tylko pierwszym i wstępnym krokiem. Ale krokiem decydującym.

Przy wejściu Skontarianina Dalton skłonił się uroczyście. Poseł w odpowiedzi rąbnął o ziemię drzewcem olbrzymiej włóczni, oparł swą zabytkową broń o ścianę, po czym wyjął zza pasa i podał atomowy rozsadzacz. Dalton wziął to ostrożnie i złożył na stole. – Witam i pozdrawiam – rzekł widząc, że Skorrogan milczy. – Zjednoczenie Republik Solar...

– Dziękuję – przerwał ochryply bas, metaliczny i wyrazisty. – Valtam Imperium Skontaru śle pozdrowienia premierowi Solarii przez usta Skorrogana, księcia Kraakahaymu.

Wyprostował się w środku sali zdając się ją wypełniać swą potężną, odrażającą postacią. Należąc do świata wysokiej grawitacji i niskich temperatur, Skontarianie byli jednak rasą olbrzymów, powyżej dwóch metrów wzrostu, tak przy tym rozrosłych wszcz, iż wyglądali na krępych. Można ich było uznać za człekokształtnych, jako że byli dwunogimi ssakami, ale na tym właściwie kończyło się podobieństwo. Spod szerokiego, niskiego czoła i nawisłych brwi Skorrogana patrzyły bystre, złociste, krogulcze oczy. Dół twarzy wyglądał jak ścięty pysk, szczęki miał wypełnione straszliwymi, kłami, krótkie uszy osadzone wysoko na okazałej czaszce. Krótka, brunatna sierść pokrywała muskularne ciało aż po czubek ruchliwego ogona, z głowy i szyi spływała rudawa grzywa. Nie bacząc na tropikalną, jak na niego, temperaturę, przybrany był w ceremonialne futra i skóry i wydzieliał ostry zapach potu.

– Książę spóźnił się – z wątpliwą uprzejmością rzekł jeden z ministrów. – Mam nadzieję, że nie zaistniały jakieś poważne przeszkody.

– Nie – odparł Skorrogan. – Po prostu przeliczyłem się z czasem. Przepraszam – dodał niezbyt przepraszającym tonem, opadł ciężko na najbliższy fotel i otworzył tekę. – Przystąpimy do interesu, panowie?

– Mm... chyba tak – Dalton zasiadł pośrodku długiego konferencyjnego stołu. – Właściwie,

w tej wstępnej rozmowie nie będziemy się zbytnio zajmować cyframi i faktami. Chcemy tylko uzgodnić cele podstawowe, ogólne zasady polityki.

– Naturalnie, będziecie chcieli zapoznać się dokładnie z obecnym stanem zasobów Avaiki i Skangu, jak również allańskich kolonii – powiedział swym łagodnym głosem Vahino. – Rolnictwo na Cundaloo i kopalnie Skontaru już teraz mają znaczną wydajność, a z czasem gospodarka powinna osiągnąć samowystarczalność.

– Będzie to także kwestia wykszolenia – rzekł Dalton. – Poślemy cały zastęp ekspertów, doradców technicznych, nauczycieli...

– Ponadto – zaczął szef sztabu – wyniknie kwestia zasobów wojennych...

– Skontar ma własną armię – burknął Skorrogan. – Chwilowo nie ma co o tym mówić.

– Może i nie – przyznał minister skarbu. Wyjął papierosa i zapalił.

– Proszę pana! – ryknął Skorrogan. – Proszę nie palić! Pan wie, że Skontarianie są uczuleni na tytoń...

– Przepraszam! – Minister skarbu zgniótł papierosa. Ręka mu lekko zdrząła i spojrzał na posła. Obawa była płonna, urządzenia klimatyzacyjne momentalnie usuwały dym. A w każdym razie nie krzyczy się na członka rządu. Zwłaszcza, gdy się przychodzi prosić o pomoc...

– W grę wchodzi inne jeszcze planetarne układy – rzekł z pośpiechem Dalton rozpaczliwie starając się załagodzić incydent. – Nie tylko kolonie solarne. Sadzę, że ekspansja waszych obydwu ras sięgnie poza wasz własny troisty układ, a zasoby uzyskane w ten sposób...

– Dla nas ekspansja jest konieczna – zawołał kwaśno Skorrogan. – Traktat ograbił nas z wszystkich czterech planet... Mniejsza z tym. Przepraszam. Przykro siedzieć przy jednym stole z wrogiem. Szczególnie jak ktoś przypomni, że to taki niedawny wróg.

Tym razem milczenie trwało długo. Dalton z nieomal fizyczną przykrością pojął, że Skorrogan nieodwołalnie zrujnował swoją pozycję. Nawet gdyby zdał sobie sprawę, co robi, i próbował sytuację naprawić – a któż widział, by arystokrata Skontaru kiedykolwiek tłumaczył się – było już za późno. Miliony ludzi widziały w telewizji jego niewybaczalna wprost arogancję. Zbyt wiele wpływowych osobistości, czołowych, działaczy solarnych, siedziało w tej samej sali, patrzyło w jego wzgardliwe oczy i czuło ostry odór nieludzkiego potu.

Skontar nie otrzyma pomocy.

O zachodzie chmury zawisły nad ciemną linią szczytów na wschód od Geyrhaynu i mroźny podmuch wiatru przyniósł w dolinę zapowiedź zimy. Przyniósł ze sobą pierwsze płatki śniegu; kołowały na tle ciemnoszkarłatnego nieba, zaróżowione odbłaskiem gasnącej krwawej łuny. Przed północą będzie śnieżycą.

Z ciemności wyłonił się statek kosmiczny i wpłynął do hangaru. Za małym kosmoportem widać było w półmroku stary gród Geyrhayn kulący się pod wiatrem. Rudy blask światła padał

od starych domów o spiczastych dachach, ale kręte uliczki były jak puste wąwozy wijące się aż na szczyt wzgórza, gdzie sterczał ponury zamek, dawne gniazdo baronów. Valtam obrał go na swoją siedzibę i mały Geyrhayn był teraz stolicą Imperium. Albowiem z dumnego Skirnoru i wspaniałego Thruvangu zostały tylko radioaktywne ruiny, a dzikie bestie wyły teraz na zgliszczach dawnego pałacu.

Skorrogan syn Valthaka wyszedł z kabiny statku. Poczul dreszcz i szczelniej owinął się futrem. Skontar był zimną planetą. Marzli tam nawet miejscowi.

Przed wyjściem czekali najwyżsi wodzowie Skontaru. Pod maską obojętności Skorrogan zdrzął wewnętrznie. Może wśród tej milczącej posepnie grupy czekała nań śmierć? Pewien był niełaski, a nie wiedział...

Na spotkanie przybył sam Valtam. Jego biała grzywa powiewała na wietrze. Złote oczy świeciły w zapadającym mroku złowieszczym blaskiem, wyzierała z nich dzika, źle ukrywana nienawiść. Tuż przy nim stał jego najstarszy syn i następca tronu, Thordin. W purpurze zachodu ostrze jego włóczni wyglądało jak umazane krwią. Obok czekali możni całego Skangu, margradowie Skontaru i innych planet. Za nimi połyskiwały hełmy i kirysy lejbgwardii. Twarze były w cieniu, ale biła od nich pogarda i wrogość.

Skorrogan podszedł do Valtama, uderzył na powitanie włócznią i pochylił nieznacznie głowę. Zapadła cisza, tylko wiatr pojękiwał i unosił śnieżne tumany.

Wreszcie przemówił Valtam, bez żadnych wstępnych pozdrowień. Zabrzmiało to jak policzek. A więc jesteś z powrotem – rzekł.

– Tak, panie. – Skorrogan usiłował panować nad głosem. Przychodziło to z trudem. Nie bał się śmierci, ale ciężar niepowodzenia przygniatał go boleśnie. – Jak już wiadomo, muszę z żalem donieść, że moja misja spełzła na niczym.

– Wiadomo – powtórzył lodowato Valtam – oglądaliśmy teleraport.

– Miłościwy panie, Cundaloo dostaje od Solarian nieograniczoną pomoc. Ale Skontarowi odmówiono wszystkiego. Żadnych kredytów, żadnych doradców technicznych, nic. I nie możemy liczyć prawie wcale na handel i turystów.

– Wiemy – rzekł Thordin. – A ty byłeś wysłany, aby tę pomoc uzyskać.

– Próbowałem, panie – rzekł obojętnie Skorrogan. Mówił, bo coś musiał powiedzieć, ale tłumaczyć się? Nie! – Solarianie żywią do nas niewyrozumowaną niechęć; po części dlatego, że mają słabość dla Cundaloi, a po części, jak sędzę, ponieważ tak bardzo różni się od nich.

– Różni się – przyznał chłodno Valtam – ale dawniej to nie miało większego znaczenia. I teraz zresztą tacy Mingonianie, znacznie mniej ludzcy od nas, dostali od Solarian ogromną pomoc. Taką właśnie, jaką otrzyma już wkrótce Cundaloo, i jaką my także mogliśmy uzyskać.

– Pragniemy – ciągnął – jak najlepszych stosunków z najpotężniejszym mocarstwem Galaktyki. A mogliśmy mieć i to, i o wiele więcej. Wiem z bezpośrednich źródeł, jaki panował

nastrój w Zjednoczonych Republikach. Gotowi byli przyjść nam z pomocą, gdybyśmy okazali choć trochę woli współpracy. Można by wtedy myśleć o odbudowie, a nawet o większych rzeczach... – głos mu załamał się i zamarł w poświstach wiatru.

Po chwili mówił dalej, głosem coraz bardziej nabrzmiałym wściekłością: – Wysłałem cię, jako mego specjalnego przedstawiciela, abyś otrzymał tę wielkodusznie ofiarowaną pomoc. Ufałem ci, pewien byłem, że zdajesz sobie sprawę z okropności naszego położenia... Hrrr. – Splunął ze wstrętem. – A ty cały czas zachowywałeś się obraźliwie, bezczelnie, grubiańsko. W oczach wszystkich Solarian okazałeś się jakby wcieleniem tych cech, których w nas nienawidzą. Nic dziwnego, że nam odmówili. Całe szczęście, że nie wypowiedzieli wojny!

– Jeszcze nie jest za późno – rzekł Thordin. – Możemy wysłać drugiego...

– Nie. – Valtam uniósł głowę z wrodzoną dumą tej żelaznej rasy, z wyniosłością właściwą kulturze, dla której od zarania dziejów honor był ważniejszy od życia. – Skorrogan był naszym posłem pełnomocnym. Jeśli się mamy go zaprzeczyć, jeśli mamy za niego przeproszać – nie z powodu określonego czynu, ale za jego złe wychowanie – i czołgać się przed Galaktyką... nie! to niemożliwe. Musimy obejść się bez Solarian.

Śnieg padał coraz gęstszy, chmury zakryły już prawie całe niebo. W jednym tylko miejscu błyszczało kilka gwiazd. Chwytał dotkliwy mróz.

– Cóż za cena honoru! – zawołał smutnie Thordin. – Skontar głoduje, a żywność solariańska mogłaby nas utrzymać przy życiu. Chodzi w łachmanach – Solarianie przysłaliby odzież. Fabryki mamy zniszczone albo przestarzałe. Nasza młodzież wyrasta nieświadoma zupełnie galaktycznej cywilizacji i technologii – Solarianie przysłaliby nam maszyny i techników, pomogli w odbudowie. Przysłaliby tu nauczycieli, stanęłaby przed nami otworem droga do wielkości... Ale już za późno. – Thordin wbił w Skorrogana, swojego przyjaciela, wzrok pośepny, zdziwiony, zrozpaczony. – Ale dlaczegoś to zrobił? Dlaczego?

– Zrobiłem, co mogłem – odrzekł sztywno Skorrogan. – Jeśli nie nadawałem się do tej misji, trzeba było wysłać kogo innego.

– Nadawałeś się – powiedział Valtam. – Byłeś naszym najlepszym dyplomatą. Twoja zręczność, twoje zrozumienie psychologii pozaskontarskiej, twoja wybitna umysłowość, czyniły cię niezastąpionym w stosunkach zewnętrznych. A tu, w tak prostej, a doniosłej sprawie... Ale koniec z tym! – głos jego wzniósł się ponad ryk wichury. – Koniec z moim zaufaniem do ciebie! Skontar dowie się, że zawiodłeś!

– Miłościwy Panie! – zawołał Skorrogan łamiącym się głosem. – Zniosłem od ciebie słowa, za które każdy inny zapłaciłby pojedyńkiem na śmierć i życie. Ale nie każ mi słuchać więcej. Pozwól mi odejść.

– Nie mogę cię pozbawić dziedzicznych praw i tytułów – rzekł Valtain. – Lecz twoja rola w rządzie imperialnym jest zakończona i nie waz się odtąd pokazywać na dworze, ani na

żadnych oficjalnych uroczystościach. Wątpię też, czy będziesz miał jakich przyjaciół.

– Może i nie – odparł Skorrogan. Zrobiłem, co w mojej mocy, ale teraz, gdybym mógł nawet jaśniej się tłumaczyć, nie uczynię tego po takich zniewagach. Jeśli jednak mam coś doradzić, gdy chodzi o przyszłość Skontaru...

– Nie potrzeba – rzekł Valtam. – Dość już wyrządziłeś szkody.

– ...to proszę o rozważenie trzech rzeczy. – Skorrogan uniósł wólcznę w kierunku dalekich błyszczących gwiazd. – Po pierwsze, pamiętajcie o tamtych słońcach. Po wtóre – o pewnych nowych pracach z dziedziny nauk i technologii tu u nas – takich jak praca Dyrina w zakresie semantyki. A wreszcie – rozejrzyjcie się wkoło. Spójrzcie na domy, zbudowane przez waszych ojców, na odzież, którą nosicie, posłuchajcie własnego języka. A za pięćdziesiąt lat przyjdźcie do mnie... aby mnie przeprosić!

Owinał się w płaszcz, pokłonił Valtamowi i długimi krokami ruszył przez pole ku miastu. Patrzyli za nim z goryczą i nierozumieniem w oczach.

W mieście był głód. Czuł go poprzez mury, głód zrozpaczonych i wynędzniałych istot, skulonych przy ogniskach i niepewnych, czy przeżyją zimę. Zamyślił się przez chwile – ilu też z nich umrze? – ale nie miał odwagi przemyśleć tego do końca.

Usłyszał czyjś śpiew i przystanął. Wędrowny bard, idący o żebraczym chlebie od miasta do miasta, włókł się ulicą, a zetlały płaszcz fantastycznie powiewał na wietrze. Smukłymi palcami potraçał struny harfy, a głos rozśpiewał się starożytną balladą, w której zawarta była cała szorstka melodyjność, cały dźwięczny, żelazny szcęk dawnego języka, języka Naarhaymu na Skontarze. Dla jakiejś smutnej rozrywki Skorrogan przetłumaczył w myśli dwie zwrotki na ziemszczyznę:

*Skrzydlate ptaki wojny
W dzikim przelocie
Budzą zamarłe zimą
Pragnienie morskiego szlaku.
Miła moja, oto na mnie czas,
Śpiewaj o kwiatach,
Najpiękniejsza, gdy żegnasz.
Bądź zdrowa, Kocham cię.*

Nic z tego. Nie tylko się zatracił metaliczny rytm twardych, ostrych sylab, nie tylko gubiła się zawilóść rymów i aliteracji, ale, co gorsza, w przekładzie na ziemski nie miało to sensu. Brakło odpowiedników. Jak można na przykład oddać pełne niezliczonych odcieni znaczeniowych słowo *virkansraavin*, wyrazem „żegnasz”? Psychologie są na to zbyt różne od

siebie.

W tym krył się może sens jego odpowiedzi danej najwyższym wodzom. Lecz oni tego nie rozumieją. Nie mogą zrozumieć. Pozostał więc sam w obliczu nadciągającej zimy.

Valka Vahino siedział w ogrodzie i kąpał się w powodzi słonecznych blasków. Rzadko kiedy miał teraz okazję do aliacau – jak brzmiał staroziemski termin? „Sjesta”? Niedokładny właściwie. Cundalończyk spoczywał, ale nigdy nie spał po południu. Siedział lub leżał na dworze, słońce przenikało w głąb ciała, albo obmywał je ciepły deszcz. Pozwalał myślom płynąć swobodnie. Solarianie nazywali to marzeniem na jawie. Ale właściwie było to jeszcze coś innego, tylko w języku ziemskim nie było na to słowa. „Odprężenie psychiczne” to zwrot okropnie toporny. Co prawda Solarianie w żadnym razie nie mogliby zrozumieć...

Czasem Vahino miał wrażenie, jakby nie odpoczywał nigdy, od wieków. Ciężkie obowiązki epoki wojny, później wyczerpujące podróże na Ziemię... Ostatnio zaś Wielki Dom mianował go Najwyższym Łącznikiem w przekonaniu, że rozumie Solarian lepiej niż ktokolwiek w Lidze.

Być może. Wiele czasu spędził wśród nich, lubił ich jako rasę i jako jednostki. Ale... na wszystkie duchy: jak oni pracowali! Jacy byli ciągle zaganiani! Można by myśleć, że ścigają ich sfory demonów.

Prawdę mówiąc nie było innego sposobu odbudowy, reformy przestarzałych metod i zdobycia tak pożądanego, oszołamiającego bogactwa. Ale z drugiej strony, co za ukojenie tak leżeć w ogrodzie, patrzeć na wielkie złociste kwiaty, chłonąć powietrze przesycone ich upajającą wonią, słuchać brzęczenia owadów i rozmyślać nad nowym wierszem, który wykluwał się w głowie.

Solarianom trudno było zrozumieć naród złożony z samych poetów. A przecież najgłupszy nawet i najniezdniejszy Cundalończyk umiał, wyciągnąwszy się w słońcu, układać liryki. Cóż, każda rasa ma swoje uzdolnienia. Czy można dorównać geniuszowi wynalazczemu ludzi?

W głowie Vahino wzbierały dźwięczne i śpiewne wyrazy. Układał je, cyzelował, dobierał każdą zgłoskę, kształtował całość z rosnącym zadowoleniem. Tak, teraz będzie już dobrze. Zapamiętają to, śpiewać będą i za sto lat. Valka Vahino nie będzie zapomniany. Kto wie, czy nie nazwą go mistrzem wierszotwórstwa – Alia Amaui cauianriho, valana, vro!

– Przepraszam, panie! – Tępy, metaliczny głos aż zazgrzytał w mózgu. Delikatna tkanka poezji rozpadała się i odpłynęła w mroczny wir niepamięci. Przez chwilę nic nie potrafił odczuwać prócz nieodwołalnej straty.

– Przepraszam bardzo, ale pan Lombard chce pana zobaczyć.

Fala dźwiękowa biła z robożnego, daru samego Lombarda. Vahine raziła okropnie ta instalacja z błyszczącego metalu ustawiona wśród starych makat i rzeźb. Ale bał się obrazić ofiarodawcę, a przedmiot był pożyteczny.

Lombard, szef solariańskiej komisji odbudowy, był najważniejszym człowiekiem w całym systemie Avaiki. I teraz nawet Vahino doceniał jego uprzejmość: zamiast przysłać po niego, trudził się sam. Tylko dlaczego właśnie o tej porze?

– Uprowadź pana Lombarda, że zaraz przychodzę.

Musiał najpierw coś włożyć na siebie. W przeciwieństwie do Cundalończyków ludzie byli uwrażliwieni na nagość. Następnie wszedł do sali. Kazał tam ustawić kilka foteli na użytek Ziemian, którzy niechętnie siadali na plecionych matach... jeszcze jedno dziwactwo! Przy wejściu Vahina Lombard wstał.

Ziemianin był niski, krępy, nad płaską, twarzą rosły mu siwe włosy. Własną pracą wybił się z wyrobnika najpierw na inżyniera, wreszcie na szefa misji i wysiłek ten zostawił na nim ślady. Do wszelkiej pracy zabierał się z osobistą pasją, a twardy był jak stal. Ale na ogół był bardzo miły, miał zadziwiająco duży zakres zainteresowań, a w swej działalności w Systemie Avaiki dokonywał prawdziwych cudów.

– Pokój twemu domowi, bracie – rzekł Vahino.

– Dzień dobry – odmrugnał tamten. A widząc, że Vahino daje znaki służbie, pośpiesznie zawołał: – Tylko bez waszych rytuałów! Bardzo je cenię, ale teraz po prostu nie mam czasu siedzieć trzy godziny przy stole i mówić o kulturze, zanim się przejdzie do interesów. Chciałem właśnie, żeby pan, jako miejscowy, wytłumaczył wszystkim jakoś ogólnie, że trzeba koniecznie z tym skończyć.

– Ale to są nasze najstarsze zwyczaje...

– Otóż to: stare, przestarzałe, opóźniają postęp. Nie mam nic złego na myśli, panie Vahino, chciałbym, żeby u nas były tak piękne zwyczaje. Ale nie podczas godzin pracy. Bardzo o to proszę.

– Myślę, że pan ma rację. To nie pasuje po prostu do nowoczesnego modelu przemysłowej cywilizacji. A do niej przecież zmierzamy. – Vahino usiadł na krześle i podał gościowi papierosy. Palenie było typową wadą Solarian, bardzo zaraźliwą, a łatwą do obrony. Vahino sam też zapalił z radością neofity.

– Tak jest. O to chodzi. W tej właśnie sprawie przyszedłem, panie Vahino. Nie mam żadnych określonych skarg. Ale nagromadziło się mnóstwo drobnych trudności, na które tylko wy sami możecie poradzić, My, Solarianie, ani chcemy, ani możemy mieszać się do waszych wewnętrznych spraw. Ale niektóre rzeczy musicie zmienić, bo inaczej nie będziemy wam mogli pomagać.

Vahino wiedział już wszystko. Spodziewał się tego od dłuższego czasu i pomyślał ze smutkiem, że nic się nie da poradzić. Zaciągnął się papierosem, wypuścił kłęb dymu i z uprzejmym pytaniem uniósł brwi do góry. Zaraz jednak przypomniał sobie, że u Solarian zmiany wyrazu nie stanowią części rozmowy, i powiedział głośno: – Proszę, niech pan powie, co

ma na sercu. Rozumiem, że nie ma intencji zniewagi, i żadnej się nie dopatrzę.

– Dobra! – Lombard nachylił się w jego stronę, nerwowo składając i rozkładając duże spracowane ręce. – Sęk w tym, że cała wasza kultura, cała wasza psychika nie nadają się do współczesnej cywilizacji. Można to zmienić, ale zmiana musi być radykalna. Żeby ją przeprowadzić, musicie wydać odpowiednie ustawy, zorganizować kampanię propagandową, zmienić system szkolnictwa i tak dalej. Bez tego nie ruszymy.

– Weźmy na przykład – ciągnął – taką sprawę jak sjest. W tej chwili, na całym obszarze środkowej strefy czasu ani jedno kółko, ani jedna maszyna się nie porusza, nikt nie pracuje. Wszyscy leżą na słońcu, układają wiersze, nucą piosenki albo po prostu drzemią. Tak nie można, Vahino, jeśli chcemy zbudować całą cywilizację! Plantacje, kopalnia, fabryki, miasta! Temu nie damy rady przy czterogodzinnym dniu pracy!

– Nie. Ale może my nie mamy energii waszej rasy? Jesteście przecież gatunkiem o szczególnie wysokiej czynności tarczycy.

– To sprawa przyzwyczajenia. Trzeba się tylko nauczyć. Wcale nie trzeba wykonywać pracy nad siły. Po to właśnie mechanizujemy waszą kulturę, żeby was uwolnić od wysiłków fizycznych i zależności od kaprysów przyrody. Ale maszynowej cywilizacji nie da się pogodzić z takim mnóstwem wierzeń, obrządków, zwyczajów i tradycji, co u was. Nie ma na to czasu. Życie jest za krótkie, aby czynić je nielogicznym. A wy wciąż zanadto przypominacie Skontarian, którzy nie mogą się rozstać ze swoimi przedwiecznymi włóczyniami.

– Tradycja nadaje życiu wartość, nadaje mu sens...

– Kultura maszyn wytwarza własną tradycję. Z czasem się przekonacie. Wytwarza własny sens, i myślą, że jest to sens jutra. Trzymając się uparcie przestarzałych zwyczajów, nie dognacie nigdy historii. Wasz system monetarny...

– Jest bardzo praktyczny.

– Na swój sposób. Ale jak możecie handlować z Ziemią opierając wasze banknoty na srebrze, gdy solariańskie są abstrakcyjne? Musicie przejść na nasz system dla celów handlu i wprowadzić również pieniądze abstrakcyjne. A zupełnie tak samo z systemem metrycznym, jeśli chcecie używać naszych maszyn, czy dogadać się z naszymi uczonymi. Krótko mówiąc, musicie wziąć od nas wszystko.

– A choćby i wasze pojęcia społeczne – podjął po chwili Lombard. – Nic dziwnego, że nie zdołaliście opanować planet w waszym własnym układzie, jeśli każdy u was chce koniecznie być pogrzebany tam, gdzie się urodził. Bardzo to piękne uczucie, ale nic więcej. Będziecie musieli go się pozbyć, o ile macie zamiar osiągnąć gwiazd.

– Nawet wasza religia – ciągnął z pewnym wahaniem – proszę mi wybaczyć, ale doprawdy... są w niej różne rzeczy, które współczesna wiedza stanowczo odrzuca.

– Jestem agnostykiem – odparł spokojnie Vahino. – Ale dla wielu osób religia Mauiroa jest

jeszcze czymś bardzo żywym.

– Gdyby Wielki Dom pozwolił nam sprowadzić misjonarzy, moglibyśmy nawrócić wszystkich na, powiedzmy, neopanteizm. Moim zdaniem neopanteizm jest znacznie bardziej krzepiący, no i o wiele bardziej naukowy niż wasza mitologia. Jeżeli wasza społeczność musi koniecznie w coś wierzyć, niechże to będzie przynajmniej wiara zgodna z faktami, jakie technologia współczesna już wkrótce uczyni i dla was oczywistymi,

– Być może. Przypuszczam także, że ustrój rodowy jest zbyt zawity i sztywny jak na nowoczesną organizację społeczną... Tak, chodzi o głębsze zmiany niż zwykle uprzemysłowienie.

– Naturalnie – podchwycił Lombard. – Chodzi o zupełną przemianę umysłowości. Zresztą, z czasem do tego dojdziecie. Po wyjeździe Allana budowaliście fabryki atomowe i statki kosmiczne. Proponuję wam tylko, abyście trochę przyspieszyli ten proces.

– A język?...

– Nie chce być posądzony o szowinizm, ale uważam, że wszyscy Cundalończycy powinni uczyć się solarskiego. Prędzej czy później będzie im potrzebny.

Wszyscy wasi uczeni i technicy muszą posługiwać się nim zawodowo. Języki Laui, Muara i inne są piękne, ale dla wyrażania terminów naukowych zupełnie się nie nadają. Sama już wielopojęciowość... szczerze mówiąc wasze księgi filozoficzne brzmią dla mnie przeraźliwie mętnie. Piękne, ale pozbawione określonego sensu. Waszemu językowi brakuje precyzji.

– Zawsze uważano – odparł smutnie Vahino – że Arakles i Vranamaui są wzorem krystalicznej jasności myśli. I przyznać muszę, że dla mnie znowu wasz Kant czy Russell, a nawet Korzybski nie zawsze są zrozumiali. Inna sprawa, że nie mam w tym odpowiedniej biegłości. Zapewne ma pan rację. Młodsze pokolenie przyzna ją panu z pewnością.

– Przedstawię sprawę Wielkiemu Domowi – zakonkludował – i może już teraz uda się coś zrobić. Ale w żadnym razie nie będzie pan czekać długo. Cała nasza młodzież tylko marzy, by stać się taką, jak pan sobie życzy. To gwarancja sukcesu.

– Tak – przyznał Lombard. Po chwili zaś dodał miękko: – Wolałbym, żeby sukces nie miał tak wysokiej ceny. Ale wystarczy spojrzeć na Skontar, aby pojąć, jak bardzo to jest konieczne.

– O, Skontar! W ciągu ostatnich trzech lat dokonali prawdziwych cudów. Przetrwali wielki głód i teraz nie tylko się odbudowali, ale nawet zorganizowali wyprawy na odległe gwiazdy w poszukiwaniu kolonii. – Vahino skrzywił się w uśmiechu. – Nie żywię miłości dla naszych dawnych wrogów, ale trudno ich nie podziwiać.

– Dzielni są – zgodził się Lombard. – Ale co przyjdzie z samej dzielności? Przeszarżała technika jest dla nich kamieniem u szyi. Cundaloo już teraz ma globalną produkcję trzy razy większą. Ich międzygwiazdne kolonie to tylko wąty gest kilkuset jednostek. Skontar może wyżyc, ale będzie zawsze potęgą dziesiątego rzędu. Tylko patrzeć, a stanie się waszym satelitą.

– I to nie dlatego – mówił Lombard – by brakło im zasobów naturalnych czy innych. Rzecz w tym, że odrzucając naszą ofertę pomocy – a tak właściwie było – wyłączyli się z głównego nurtu galaktycznej cywilizacji. Przecież teraz dopiero próbują rozwinąć naukowe pojęcia i wytworzyć sprzęt, jaki my mieliśmy przed stu laty. A robią takie błędy, że można by śmiać się, gdyby to nie było żalosne. Ich język, podobnie jak wasz, nie nadaje się do myśli naukowej, a tradycja ciągle ich skuwa. Widziałem na przykład ich statki kosmiczne, które budowali według własnej konstrukcji, zamiast kopiować nasze modele... po prostu groteska. Sto różnych dróg, aby trafić na szlak, którym my idziemy od dawna. Mają statki kuliste, owalne, sześciennie... słyszałem nawet, że ktoś tam projektuje statek czwórścienny!

– W zasadzie to możliwe – mruknął Vahino. – Geometria Riemanna, na której opiera się napęd międzygwiazdny, dopuszcza...

– Wykluczone! Ziemia próbowała już tego i nic nie wyszło. Tylko dziwak – a uczeni Skontaru w swoim odosobnieniu stają się rasą dziwaków – może tak myśleć. Nam, ludziom, poszczęściło się i to wszystko. Ale i u nas długo trwało, zanim nasza kultura wytworzyła mentalność stosowną dla naukowej cywilizacji. Do tego czasu postępu w technologii prawie nie było. A później sięgnęliśmy gwiazd. Inne rasy mogą zrobić to samo, ale najpierw muszą wykształcić odpowiednią cywilizację, właściwą umysłowość. A bez naszego przewodnictwa ani Skontar, ani żadna inna planeta nie zdoła tego uczynić jeszcze przez długie wieki.

– Co przypomina mi – ciągnął Lombard grzebiąc w kieszeniach – że dostałem właśnie jeden ze skontarskich przeglądów filozoficznych. Jak pan wie, pewien kontakt wciąż jeszcze istnieje, oficjalnie debit nie został odebrany. Tyle, że ze Skangiem nie chcemy mieć do czynienia. Mniejsza z tym. Dość, że jeden z ich filozofów, Dyrin, który pracuje nad ogólną semantyką, wywołał ostatnio sensacją... – Lombard znalazł nareszcie pismo – Pan czyta po skontarsku, prawda?

– Tak – rzekł Vahino. – W czasie wojny pracowałem w wywiadzie. Niech pan pokaże... – odszukał wspomniany artykuł i zaczął tłumaczyć na głos:

„W poprzednich rozprawach autor wykazał, że zasada bezpierwiastkowości nie jest sama w sobie uniwersalna, lecz musi być poddana pewnym psychomatematycznym zastrzeżeniom wynikającym z uwzględnienia pola broganarycznego – tego nie rozumiem – które w powiązaniu z atomofalami elektronowymi...”

– Co to za abrakadabra? – wybuchnął Lombard.

– Nie wiem – odparł bezradnie Vahino. – Umysłowość skontarska jest mi równie obca jak panu.

– Jakieś gładzenie – rzekł Lombard, – Z pocziwym skontarskim dogmatyzmem zgadujzgadulskim na dokładkę! rzucił przegląd na mały piecyk z brązu, a ogień ogarnął szybko cieniutkie karty. – Brednie, co widzi z łatwością każdy, kto ma trochę pojęcia o ogólnej

semantyce, a choćby krztę rozsądku! – uśmiechnął się wzgardliwie i trochę nieszczerze, i pokiwał głową. – Rasa dziwaków!

– Chciałbym, żebyś znalazł dla mnie jutro parę godzin – rzekł Skorrogan.

– Postaram się – Thordin XI, Valtam Imperium Skontaru, skinął swą przerzedzoną grzywą. – Choć wolałbym w przyszłym tygodniu.

– Jutro! Bardzo o to proszę!

– Dobrze – zgodził się Thordin. – Ale o co chodzi?

– Chciałbym odbyć z tobą małą wycieczkę na Cundaloo.

– Dlaczego akurat tam? I dlaczego akurat jutro?

– Powiem, jak się spotkamy – Skorrogan skłonił głowę, pokrytą gęstą jeszcze, ale białą jak mleko grzywą i wyłączył swój ekran.

Thordin uśmiechnął się pobłaźliwie. Skorrogan znany był ze swych dziwactw. „No, ale my, starcy, musimy trzymać się razem – pomyślał. – Wyrosły już dwa pokolenia i obydwu nam depcą po piętach”.

Trzydzieści kilka lat wewnętrznej banicji bardzo, rzecz jasna, zmieniło tak ongi radośnie pewnego siebie Skorrogana. Ale przynajmniej nie zgorzkniał. Kiedy powolna odbudowa Skontaru zaczęła dawać tak niewątpliwy rezultat, że zapomniano o jego nieudanej misji, krąg przyjaciół stopniowo powrócił. Żył nadal samotnie, ale przestano go witać kosym spojrzeniem. A Thordin przekonał się, że ich dawna przyjaźń jest równie żywa jak niegdyś, i często odwiedzał Kraakahaym lub zapraszał Skorrogana do pałacu. Ofiarował nawet staremu arystokracie udział w Wysokiej Radzie, ale tamten odmówił i minęło dalszych dziesięć lat – a może dwadzieścia? – w ciągu których Skorrogan sprawował tylko swą dziedziczną godność księżęcą. Aż teraz dopiero pierwszy raz zwrócił się z prośbą... „Tak – myślał Thordin – polecę z nim jutro. Do licha z pracą! Monarchom też czasem należy się urlop.”

Wstał z fotela i podszedł utykając do okna. Nowa endokrynowa kuracja cudownie wpływała na jego reumatyzm, ale jeszcze nie była ukończona. Dreszcz go przejął na widok śniegu zasypującego dolinę. Zima znów była blisko.

Geologowie twierdzili, że Skontar wchodzi w nową epokę lodową. Ale to nie nastąpi nigdy. Za jakie dziesięć lat klimatyczni inżynierowie udoskonalą swą technikę i lodowce wrócą na daleką północ. Na razie jednak było zimno i biało na dworze, a przenikliwy wiatr huczał dokoła murów pałacu.

Ale na południowej półkuli teraz jest lato, pola zielenią się, dym z domków wieśniaczych bije w ciepłe, błękitne niebo. Kto stał tam na czele naukowej grupy?... Ach, tak, Aesgayr, syn Haastinga. Jego prace w dziedzinie genetyki i agronomii umożliwiły niezależnym wieśniakom wytwarzanie dostatecznej żywności dla nowej naukowej cywilizacji. Dawny wolny kmieć, ostoja

Skontaru w ciągu całej historii, nie wymarł, ale nadal był czynny.

Za to inne rzeczy zmieniły się bardzo. Thordin uśmiechnął się smutnie na myśl o przeobrażeniach, jakim w ostatnich latach pięćdziesięciu uległa Valtamarchia. Nowe psychosymbologiczne metody rządzenia oparte były na odkryciach Dyrina w zakresie ogólnej semantyki, tak zasadniczych dla całej w ogóle wiedzy. Skontar już tylko z nazwy stanowił teraz imperium. Rozwiązał paradoks połączenia liberalnego państwa z rządem niewybieralnym, a sprawnym. Były to wszystko zmiany korzystne i całe minione dzieje Skontaru z wolna i z trudem do tego zmierzały. Ale nowa wiedza przyspieszyła ów proces, na przestrzeni dwóch krótkich pokoleń zmieściła stulecia rozwoju. A rzecz dziwna, choć przyrodnicze i biologiczne nauki gnały naprzód w tempie nie do wiary, sztuki plastyczne, muzyka i literatura mało co się zmieniły, rzemiosło przetrwało i dalej mówiono prastarym językiem naarhaymskim.

Thordin przerwał rozmyślenia i wrócił do biurka. Miał jeszcze sporo roboty. Choćby ta sprawa kolonii na planecie Aeric! Ale trudno administrować bez róż maitych kłopotów międzygwiazdą siecią kilkuset szybko rozwijających się osad. Były to jednak troski dość nieważne w porównaniu z faktem, że imperium mocno stało na nogach i rosło.

Daleką uszli drogę od tego dnia rozpaczy sprzed pięćdziesięciu lat, od epoki głodu, chorób i żałoby, jaka później przysła. Thordin pomyślał, że nawet i on nie bardzo uświadamiał sobie, jak długa to była droga.

Ujął mikrolektor i zaczął przeglądać strony. Nie władał nową metodą tak biegle jak młodzi, zaprawieni w niej od urodzenia. Mimo to arryzował z dość dużą wprawą, integrował w podświadomości i łatwo indolował każdą możliwość. Nie pojmował, jak też mógł sobie radzić za dawnych dni rozumowania czysto świadomego.

Thordin wyszedł z wnęki w bramie jednej z zewnętrznych baszt zamku Kraakahaym. Skorrogan naznaczył spotkanie tam, nie zaś wewnątrz zamczyska, ponieważ lubił roztaczający się tu widok. „Wspaniały! – pomyślał Valtam – ale te dzikie urwiska, sterczące z burego morza chmur, przyprowadzają o zawrót głowy.” Nad nimi wznosiły się starożytne blanki, a jeszcze wyżej czarne zbocza kraakaru, od którego powstała nazwa skalnego gniazda. Wiatr huczał wściekle i miotał suchym śniegiem.

Straż wzniosła włócznie na powitanie. Innej broni zresztą nie miała, a obrotowe działa na murach zamku przerdzewiały doszczętnie. Ale broń nie była potrzebna w sercu mocarstwa ustępującego potęgą tylko posiadłościom solarnym. Skorrogan czekał w podwórku. Pięćdziesiąt lat prawie nie zgięło mu grzbietu, a oczom nie odebrało zacieklego blasku. Dziś jednak Thordin dostrzegł w wyglądzie starca oznaki tłącego w głębi, napiętego wyczekiwania. Jakby wypatrywał już końca podróży.

Skorrogan wykonał powitalne gesty i zaprosił przyjaciela do wnętrza. – Nie, dziękuję ci –

odparł Thordin – ale jestem naprawdę zajęty. Chciałbym wyruszyć zaraz.

Książę wypowiedział zwyczajową formułkę żalu, widać jednak było, że sam drży z niecierpliwości i z trudem wytrzymałby godzinną rozmowę w zamku. – W takim razie chodźmy – powiedział. – Mój statek jest gotów.

Smukły, niewielki robostatek, o dziwnych liniach wszystkich czworościennych pojazdów, zahangarowany był z tyłu zamku. Weszli i zajęli miejsca w samym środku, skąd obudowa nie przeszkadzała patrzeć.

– A teraz – rzekł Thordin – może mi powiesz, dlaczego właśnie dzisiaj chcesz lecieć na Cundaloe?

Skorrogan spojrzał nań wzrokiem, w którym odżył zadawniony ból.

– Dziś – odparł wolno – mija dokładnie pięćdziesiąt lat, odkąd wróciłem z Ziemi.

– Ach, tak? – zdziwił się Thordin i przykro mu się zrobiło. Czyżby stary mruk zamierzał wracać do dawnych porachunków?

– Może nie pamiętasz – ciągnął Skorrogan – ale zdevarganuj to z podświadomości, a zobaczysz. Powiedziałem wtedy do wodzów, że za pięćdziesiąt lat przyjdą do mnie, aby mnie przeprosić.

– I teraz chcesz się zemścić? – Thordin nie był tym zaskoczony – typowy objaw psychologii skontarskiej – ale nie widział wcale powodu do przeprosin.

– Tak – odparł Skorrogan. – Wtedy nie mogłem tego tłumaczyć. Nikt by nie chciał mnie słuchać, a i sam wcale nie byłem pewien, czy postąpiłem słusznie.

Uśmiechnął się i ujął ster w szczupłe dłonie. – Teraz tę pewność mam. Czas przyznał mi rację. I odzyskał to wszystko, co straciłem na czci, wykazując ci dzisiaj, że moja misja wtedy właściwie się powiodła. Bo musisz wiedzieć, że zupełnie rozmyślnie zraziłem Solarian.

Nacisnął główny włącznik napędowy i pomknął przez pół roku świetlnego przestrzeni. Oczom ich ukazała się wkrótce wielka, błękitna tarcza Cundaloi lśniąca łagodnym blaskiem na tle miliona jarzących się gwiazd.

Thordin siedział spokojnie, podczas gdy to niezwykle, a proste oświadczenie przenikało stopniowo do jego umysłu. Pierwszym jego odruchem było uprzytomnienie sobie, że podświadomie spodziewał się czegoś takiego. W głębi ducha nigdy właściwie nie wierzył, by Skorrogan był tak nieudolny.

Wobec tego jednak?... Nie, zdrajcą też nie był. Ale co w takim razie? O co mu chodziło? Czy w ciągu tych długich lat trwał w jakimś szaleństwie, czy też...

– Od czasu wojny rzadko kiedy byłeś na Cundaloi, prawda? – spytał Skorrogan.

– Tak, wszystkiego trzy razy i to bardzo krótko. Mają wielki dostatek, Solarianie pomogli im stanąć na nogach.

– Dostatek... tak, mają dostatek – Na ustach Skorrogana pojawił się uśmiech, smutny jednak

i bardziej przypominający płacz. – Opływają we wszystko! Ta pomyślność aż wprost rozsadza cały ich systemik, razem z trzema gwiazdnymi koloniami.

Gniewnym ruchem szarpnął nagle krótkodystansowy ster i statek zworpował. Wylądowali na krańcu wielkiego kosmoportu w Cundaloa City, a hangarowe roboty przystąpiły natychmiast do sprawdzenia maszyny i pokrycia jej ochronnym siłostropem.

– A co teraz? – zagadnął szeptem Thordin. Zdjął go raptowny, nieokreślony lek. Przeczynał niejasno, że nie spodoba mu się to, co zobaczy.

– Przejdziemy się po stolicy – rzekł Skorrogan – i może zrobimy parą wypadów po planecie. Chciałem, żebyśmy zjawili się tutaj nieoficjalnie, incognito, bo to jedyny sposób zobaczenia rzeczywistego, codziennego życia. A to znacznie ważniejsze i znacznie więcej mówi niż wszelkie statystyki czy gospodarcze wykresy. Chcą ci pokazać przed czym ocaliłem Skontar. Thordin! – zawołał z bolesnym uśmiechem – całe życie oddałem za moją planetę. A w każdym razie pięćdziesiąt lat życia... pięćdziesiąt lat hańby i samotności.

Minęli bramę i zanurzyli się w zgiełku pokrytej żelbetem i stalą równiny. Panował tu bezustanny ruch, ciągle falowanie gorączkowej energii solariańskiej cywilizacji. Znaczną część tej cizby stanowili ludzie przybyli na Avaiki w interesach lub dla przyjemności. Byli także przedstawiciele niektórych innych ras. Ale większość tłumów składała się, rzecz jasna, z miejscowych Cundalończyków. Nie zawsze zresztą można ich było odróżnić od ludzi. Właściwie obie rasy były bardzo do siebie podobne. A że Cundalończycy ubierali się wszyscy po solariańsku...

Thordin ze zdumieniem potrząsał głową wsłuchując się w rozgwar. – Nie rozumiem! – zawołał do Skorrogana usiłując przekrzyczeć wrzawę. – Znam przecież cundaloński, zarówno laui jak i muara, a jednak... – Nic dziwnego – odparł Skorrogan – prawie wszyscy mówią tu po solarsku. Języki miejscowe szybko obumierają.

Tłusty Solarianin, w krzykliwym sportowym ubraniu, wrzeszczał na niewzruszonego miejscowego kramarza, który stał przed sklepikiem: – Ej, chłopie, dać tutejsza pamiołek, hophop... – „Sto słów po solarsku” – skrzywił się Skorrogan. – Co prawda i to się kończy, bo młodzi Cundalończycy już od dziecka się uczą poprawnego języka. Ale turyści są zawsze jednacy. – Zachnął się i mimo woli sięgnął po rozsadzacz.

Lecz zmieniły się czasy. Nie rozwalalo się dzisiaj kogoś dlatego tylko, że był antypatyczny. Nawet na Skontarze wyszło to z mody.

Turysta odwrócił się i wpadł na nich. – Przepraszam! – zawołał dość uprzejmie – powinienem uważać.

– Nie szkodzi – wzruszył ramionami Skorrogan.

Solarianin przeszedł teraz na twardo akcentowany naarhaymski: – Naprawdę, bardzo mi przykro. Czy mogę postawić wam coś do wypicia?

– Chyba nie – odparł Skorrogan i z lekka się zmarszczył.

– Co za planeta! Zacofana jak... jak Pluton. Jadą stąd na Skontar. Spodziewam się ubić tam parę interesów... bo wy, Skontarianie, znacie się na tym.

Skorrogan warknął wściekle i odskoczył ciągnąc Thordina za sobą. Odpłynęli motilatorem kilkaset metrów, gdy Valtam zapytał: – Gdzie podziały się twoje dobre maniery? Przecież on chciał być dla nas jak najbardziej uprzejmy. Chyba, że masz wrodzoną nienawiść do ludzi?

– Przeważnie ich lubię – rzekł Skorrogan – tylko nie ich turystów. Dziękujmy losom, że ten gatunek rzadko się pokazuje na Skontarze. Ich przedsiębiorcy, inżynierowie, uczeni są wszyscy bardzo mili. Cieszę się bardzo, że dzięki zacieśnieniu stosunków bada częściej do nas przyjeżdżać. Ale precz z turystami.

– Dlaczego?

Skorrogan gwałtownym gestem wskazał płonący neon, – Oto dlaczego! – rzekł tłumacząc solarskie napisy:

ZWIEDZAJCIE STAROŻYTNOŚCI CUNDALOA!

ORYGINALNE ANTYCZNE OBRZĘDY

PIERWOTNYCH KULTÓW MAUIROA!

BAJECZNIE KOLOROWY CZAR DAWNYCH OBYCZAJÓW!

ZWIEDZAJCIE ŚWIĄTYNIĘ NAJWYŻSZEGO BOSTWAI CENA WSTĘPU ZNIŻONA!

DLA WYCIECZEK ULGI!

– Religia Mauiroa dawniej coś stanowiła – mówi? cichym głosem Skorrogan. – Była to wiara piękna i szlachetna, choć zawierała pierwiastki nienaukowe. Zresztą, można je było zmienić. Ale teraz na to za późno. Większość tubylców to neopanteiści albo niewierzący, a dawne obrzędy wykonują dla zysku. Robią z nich przedstawienie.

Skrzywił się. – Cundaloea zachowała stare, malownicze zabytki, folklor, melodie ludowe i resztę dawnej kultury. Ale uświadomiła sobie ich malowniczość, a to gorsze, niż gdyby je zniszczyła.

– Nie bardzo rozumiem, na co się tak oburzasz – rzekł Thordin. – Zmieniły się czasy. Na Skontarze też się zmieniły.

– Ale nie w ten sposób. Popatrz dokoła siebie: Nie byłeś nigdy w Systemie Solarnym, ale zdjęcia musiałeś oglądać. Więc chyba widzisz, że to jest typowe miasto solarskie. Trochę zacofane, być może, ale typowe. I w całym Systemie Avaiki nie znajdziesz miasta, które w swej istocie nie byłoby... ludzkie.

– Nie znajdziesz tu – ciągnął – kwitnącej niegdyś sztuki, literatury, muzyki. Same tanie naśladownictwa wyrobów solarskich lub nędzne podrabianie zmarłych rodzimych tradycji,

falszowaną romantykę przeszłości. Nie znajdziesz nauki, która w swej istocie nie byłaby solarska, maszyn innych aniżeli solarskie; coraz mniej domów, które można odróżnić od szablonowego mieszkania ludzkiego. Rozpadły się związki rodowe, podstawa miejscowej kultury, a stosunki małżeńskie są równie przypadkowe jak na samej Ziemi. Znikło dawne przywiązanie do wsi, nie ma już prawie wcale gospodarstw plemiennych. Młodzież pcha się do miast, aby zarobić milion abstrakcyjnych kredytek. Jedzą wyroby fabryk żywnościowych typu solarskiego i krajowe dania można dostać tylko w nielicznych drogich restauracjach.

– Nie ma już – mówił dalej – ręcznie lepionych naczyń, ręcznie wyrobionych tkanin. Wszyscy noszą to, co produkują fabryki. Nie ma dawnych poetów i bardów, nikt zresztą by ich nie słuchał. Wszyscy siedzą przy telewizorach. Nie ma filozofów ze szkoły araklejskiej czy vranamauskiej, są tylko podrzędni komentatorzy Russela i Korzybskiego...

Skorrogan umilkł. Thordin długo się nie odzywał, a potem rzekł z namysłem: – Rozumiem do czego zmierzasz. Cundaloo zrobiła z siebie odbitkę solarskich wzorów.

– Tak jest. Nieuniknione to było już od chwili, kiedy przyjęli pomoc Solarian. Musieli tym samym przyjąć solarską naukę, solarską ekonomikę, a wreszcie całą kulturę solarską. Gdyż to był jedyny wzór zrozumiały dla ludzi, a oni kierowali całą odbudową. Ich kultura dawała bardzo pomyślne wyniki, więc Cundaloo przyjęła ją z łatwością. A teraz już za późno. Nie mogą tego odrobić. I nawet nie chcą odrabiać.

– Czy wiesz – dodał – że raz się tak już zdarzyło? Znam historie Solarnego Systemu i historię Ziemi. Kiedyś, zanim ludzie dosięgli innych planet w swoim układzie, istniały na Ziemi liczne kultury, czasem bardzo odmienne. Lecz w końcu jedna z nich, tak zwana społeczność zachodnia, uzyskała tak miażdżącą przewagę technologiczną, że... że nikt z nią nie mógł współistnieć. Chcąc skutecznie rywalizować, musiano przejmować samą postawę życiową Zachodu. A kiedy Zachód komu pomagał, sprowadzało się to do pomocy w naśladowaniu Zachodu. W rezultacie, mimo najlepszych intencji, zniszczył wszelką inną postać kultury i życia.

– I to przed tym chciałeś nas ocalić? – spytał Thordin. – Rozumiem twój punkt widzenia. Zastanawiam się jednak, czy wartość uczuciowa dawnych instytucji była dość wielka, by poświęcić dla nich miliony straconych istnień oraz dziesięć co najmniej lat cierpień i wyrzeczeń.

– To nie tylko wartość uczuciowa! – rzekł z przejęciem Skorrogan. – Czy tego nie widzisz? Przyszłość leży w nauce. Chcąc dojść do czegoś musieliśmy zastosować metody naukowe. Ale czy nauka Solarian ma być jedyną drogą? Czy aby wyżyć, trzeba się stać jakimiś ludźmi drugiej kategorii? Czy też można znaleźć inną jeszcze drogę, wolną od przytłaczającej pomocy wysoko rozwiniętej, lecz obcej nam rasy, i z gruntu obcej nam obyczajowości? Uważałem, że można. Uważałem, że trzeba.

– Bo żadna – ciągnął – pozaludzka rasa nie stanie się nigdy prawdziwie udanymi ludźmi. Zbyt odmienne są same podstawy psychiki: tryb przemiany materii, instynkty, wzory myślowe,

wszystko. Jedna rasa może rozumować w kategoriach drugiej, ale nigdy zbyt dobrze. Wiesz, jak trudną rzeczą jest przekład z jakiegoś obcego języka. A wszelka myśl zawiera się w mowie. Mowa i język są odbiciem podstawowych wzorów myślowych. Najbardziej ścisła, dokładna i precyzyjna filozofia i nauka jakiegoś gatunku nigdy nie będzie miała swego pełnego sensu dla odmiennej rasy. Dlatego że każda buduje nieco inne uogólnienia na podłożu tej samej zasadniczej rzeczywistości. – Chciałem – tu głos mu zadrżał – uchronić nas od zostania duchowymi satelitami Solarnego Układu. Skang był zacofany. Musiał zmienić swoją modłę życia. Ale – dlaczego ją zmieniać na całkiem obcy wzór? Dlaczego nie wymusić stworzenia w przyspieszonym tempie wzoru własnego, w zgodzie z naturalną drogą naszego rozwoju?

Wzruszył ramionami. – Zrobiłem to – dokończył spokojnie. – Ryzyko było straszne. Ale się udało. Ocaliliśmy swoją kulturę. Jest nasza. Zmuszeni przez konieczność do budowy o własnych siłach naukowej kultury, wytworzyliśmy własne metody.

– Znasz wyniki. Dyrin rozwinął semantykę, którą od początku wykpiwali solarscy uczeni. Zbudowaliśmy czworościenny statek, uważany za niemożliwość przez inżynierów ludzkich, a który dzisiaj przemierza całą Galaktykę w tym samym czasie, w jakim ich staroświecki statek dociera zaledwie z Ziemi do Alfa Centauri. Udoskonaliśmy worp przestrzeni, psychosymbologię naszej rasy – niezdatną dla żadnej innej – nowy typ rolnictwa, z zachowaniem wolnego kmiecia, ostoju naszej kultury... słowem, wszystko! W przeciągu półwiecza Cundaloo została zrewolucjonizowana. Ale Skontar sam się zrewolucjonizował. A to jest wszechświat różnic!

W ten sposób ocalały też imponderabilia: sztuka, rzemiosła, obyczaje, muzyka, język, literatura, religia. Rozmach naszych sukcesów nie tylko pozwala nam sięgnąć do gwiazd, czyniąc z nas wielkie mocarstwo Galaktyki. Rozmach ten spowodował ponadto wielkie odrodzenie imponderabiliów, równe najwspanialszemu Złotemu Wiekowi.

A to wszystko dlatego, że zostaliśmy sobą.

Pogrzyżył się w milczeniu. Thordin dłuższy czas również nie wypowiedział słowa. Weszli w boczną, cichą uliczkę starej dzielnicy. Większość budynków pochodziła z epoki przedsolarniańskiej i widziało się jeszcze sporo dawnych krajowych ubiorów. Przewodnik oprowadzał grupę turystów ludzkich, którzy stłoczyli się przy straganie garncarskim. – A więc? – zagadnął Skorrogan.

– Sam nie wiem. – Thordin potarł oczy w zadumie. – Wszystko to takie jest niespodziane. Może masz rację. A może i nie. Muszę o tym chwilę pomyśleć.

– Ja myślałem pięćdziesiąt lat – rzekł sucho Skorrogan – więc mogę, oczywiście, użyczyć ci kilku minut.

Podeszli do straganu. Stary Cundalończyk siedział tam pośród stosu towarów: jaskrawo malowanych dzbanów, czarek i mis. Wyrób tubylczy. Jakaś kobieta targowała się o jeden

z przedmiotów.

– Przyjrzyj się temu – rzekł do Thordina Skorrogan. – « – Czy oglądałeś kiedy stare wyroby? To tandeta, robiona tysiącami na sprzedaż turystom. Rysunek jest zniekształcony, wykonanie ohydne. Ale każda krzywizna, każda kreska w tych wzorach kiedyś coś oznaczała.

Wzrok ich padł na dzban, stojący obok starego kramarza i nawet niełatwy do wzruszeń Valtam aż drgnął z zachwytu. Dzban jakby płonął, wydawał się żywy. W połyskliwej, doskonałej prostocie czystych linii, w długich, smukłych wygięciach, ktoś jakby zawarł całą swoją tęsknotę i miłość. Myślał może: ten dzban będzie żył, kiedy mnie już nie będzie.

Skorrogan gwizdnął. – Najprawdziwszy autentyk! Stara rzecz – powiedział.

– Musi mieć grubo ponad sto fet. Muzealny okaz! Jak to trafiło do tej rupieciarni?

Stłoczeni Ziemianie trzymali się nieco z dala od olbrzymich Skontarian i Skorrogan patrzył na wyraz ich twarzy ze smętym rozbawieniem: mają respekt przed nami. Solarianie przestali już nienawidzić Skontaru; podziwiają nas. Wysyłają swą młodzież, aby studiowała naszą naukę i język. Ale Cundaloo już się dla nich nie liczy.

Tymczasem kobieta idąc za jego spojrzeniem zobaczyła dzban, lśniący obok starego kramarza. Zawróciła. – Ile? – spytała.

– Nie sprzedać – rzekł Cundalończyk. Mówił zduszonymi szeptem i obciągnął na sobie wytartą opończę.

– Sprzedać – uśmiechnęła się sztucznie do starego. – Dać dużo pieniędzy. Dać dziesięć kredytek.

– Nie sprzedać.

– Ja dać sto kredytek. Sprzedać!

– To moje własne. Rodzina mieć długo lat. Nie sprzedać.

– Pięćset kredytek! – wymachiwał przed nim banknotami.

Stary przycisnął dzban do zapadłej piersi i spojrzał czarnymi wilgotnymi oczyma, w których ukazały się łatwe łzy sędziwego wieku. – Nie sprzedać. Idź. Nie sprzedać oamaui.

– Chodźmy – mruknął Thordin. Chwycił Skorrogana za ramię i pociągnął go silnie. – Chodźmy stąd. Wracajmy na Skontar.

– Już?

– Tak, tak. Miałeś rację, Skorrogan. Miałeś rację i chcę cię publicznie przeprosić. Jesteś naszym zbawcą. Ale wracajmy do siebie!

Pośpieszyli w stronę kosmoportu. Thordin pragnął zapomnieć jak najprędzej oczy starego Cundalończyka. Ale wątpił, czy kiedykolwiek mu się to uda.

Tłumaczył Julian Stawiński